

# Szubieniczny dół

18 listopada 1646 roku, Hyruf

**K**siądz Thabeet wymówił ostatnie słowa modlitwy i szybko zamknął brewiarz. Towarzyszący mu kat podszedł do drewnianego podestu. Skazaniec, podtrzymywany przez dwóch pomocników, miał na głowie wełniany worek, zaciśnięty rzemieniem na krtani. Egzekutor odkaslnął i splunął na ziemię, po czym zwolnił dźwignię. Ku wielkiej radości zgromadzonego tłumu zapadka gwałtownie się otworzyła i ciało bezwładnie zawisło. W kierunku wisielca poleciały wyzwiska, obrzucano go zgniętymi jajami, jabłkami i kamieniami. Nawet kilkuletnie dzieci, zachęcane ochoczo przez rodziców, ciskały w niego kulami ulepionymi z błota. Zawziętość mieszkańców Hyruf nie znała granic. Festiwal trwałby do rana, ale z powodu nadciągającej gęstej mgły trafienia stawały się coraz rzadsze i pociski zaczynały lądować niebezpiecznie blisko księdza, któremu nie uśmiechało się wracać do katedry w śmierdzącej sutannie. Thabeet był wyjątkowo szczupłym mężczyzną, sprawiającym wrażenie spokojnego, wręcz zagubionego. Na jego prośbę o zachowanie spokoju nikt w pierwszej chwili nie zareagował i dopiero gdy podniósł głos, tłum zaprzestał ostrzału. Gdyby sytuacja była inna, z pewnością nie

omieszkalby rzucić paru kąśliwych słów o „umiarkowanym gniewie” i „prymitywnych rozrywkach, niegodnych współczesnych, cywilizowanych ludzi”, a tak tylko odwrócił się na pięcie, otwartymi dłońmi wskazując bliżej nieokreślone miejsce pod zapadnią szubienicy.

Kat miał w zwyczaju zostawiać ciało na widok publiczny jeszcze przez jakiś czas, ale w wyjątkowych okolicznościach – albo na wyraźne polecenie bezpośredniego przełożonego – postępował inaczej. Ponieważ miał około pięciu stóp, musiał użyć taboretu, bo inaczej nie sięgnąłby sznura nawet długim, rzeźniczym nożem przypiętym do pasa. Kiedy wreszcie przeciął ostatnie włókno liny, wisielec spadł z głuchym łoskotem na ziemię. Wyglądało to wyjątkowo upiornie, jakby dusza nieszczęśnika właśnie opuściła czyściec i trafiła prosto do piekła. Przygarbieni grabarze pospiesznie zabrali się do kopania dołu, kiedy ksiądz Thabeet ponownie przemówił.

– Edelber Thadur przywłaszczył sobie to, co stanowi własność naszego Pana: czas zgonu – obwieścił tonem niepozostawiającym żadnych wątpliwości. – Nie powinniście zatem wątpić, że spotkał go zasłużony los. Lecz jeśli ktoś spośród was ma na ten temat odmienne zdanie lub jest w posiadaniu informacji mogących uchronić Edelbera od ognia piekielnego, niechaj wygłosi je teraz przy wszystkich albo zamilknie na wieki.

Podczas krótkiej chwili ciszy nikt nie zabrał głosu. Thabeet zadowolony patrzył, jak kupka odrzucanej ziemi rośnie z minuty na minutę. Kat, po wymianie porozumiewawczego spojrzenia z księdzem, leniwie machnął na pomocników. Dwaj młodzi chłopcy podbiegli w podskokach. Jeden z nich przekręcił ciało na brzuch i odsłonił szyję Edelbera. Drugi, nieco starszy, a tym samym

mający więcej siły, chwycił za topór. Ostrze niebezpiecznie zachybotowało nad jego głową, a następnie spadło. Brakowało mu krzepkości dorosłego kata, musiał więc powtórzyć proces jeszcze dwukrotnie, zanim głowa odzieliła się od reszty tułowia. Po tym makabrycznym widowisku ciało zostało przewrócone na plecy. Zdyszany pomocnik odłożył topór. Zastąpił go znowu kat, który stanął okrakiem nad zwłokami. Wyjął zaostrzony kołek z kieszeni surduta i wbił go kowalskim młotem w klatkę piersiową wisielca. Thabeet, choć wiedział o konieczności przeprowadzenia tego obrządku, mimowolnie odwrócił wzrok. Odcięta głowa i przebity tors... Za wiele atrakcji jak na jeden dzień dla duchownego, który wolał zajmować się mniej brutalnymi sprawami.

Grabarze wciągnęli tułów do dołu, a dopiero potem wylądowała tam głowa. Tym razem Thabeet już przyglądał się procederowi. Nie mógł zignorować najważniejszej części pochówku. W końcu po niej miał znowu powiedzieć parę słów do tłumu.

– Sprawiedliwości stało się zadość – zagrzemiał, kiedy ostatnie uderzenia łopat trafiły w wyrównywany grunt. – Samobójstwo jest ucieczką od Stwórcy, ewidentną utratą wiary w sens odkupienia. Miejcie to na uwadze, bracia i siostry! Inaczej zostaniecie skazani na wieczne potępienie. Spotka was dokładnie to samo, co tego nieszczęśnika! – Popatrzył na publikę surowym wzrokiem i zrobił znak krzyża. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Zgromadzenie, niczym stado owiec, potulnie wykonało polecenie. Thabeet szybkim krokiem opuścił plac Straceńców, torując sobie drogę łokciami. Gapie podchodzili do miejsca pochówku i prześwietlali wzrokiem piach, który niedawno przysypał Edelbera. Wkrótce

zostałem tylko ja, obserwujący wszystko z dachu pobliskiej kamienicy. Jedyne, na co było mnie stać, to pełen złośliwości uśmiech, który wypełził na połowę moich ust.

## Dwa tygodnie wcześniej...

Znowu przyszedł do domu pijany w sztok. Od kiedy został wyrzucony z cechu murarzy, pił ciągle, na dodatek w ogromnych ilościach. Przerwy robił sobie tylko w niedziele, kiedy nie działała żadna gospoda, albo gdy pozbył się wszystkich pieniędzy i nikt z jemu podobnych nie miał choćby złamanego dalera na roztrwonienie przy kuflu piwa.

Zamglonymi oczami omiótł pokój i wtedy zobaczył matkę stojącą przy piecu. Wyglądał jak czort szukający kolejnej ofiary – spocony, z rozwichrzonymi czarnymi kudłami i szeroko rozstawionymi łapami. Całości dopełniała kwadratowa szczęka z bulwiastym nosem wciśniętym między wstrętne, świńskie oczy. Matka wiedziała, że w takich sytuacjach lepiej się nie odzywać i po prostu zejść staremu głupcowi z drogi. Obwinał ją o każde swoje niepowodzenie, a ponieważ ona zwykle siedziała cicho, bo, jak mówiła – chciała mnie w ten sposób chronić przed jego gniewem – tak naprawdę tylko utwierdzała ojca w przekonaniu, że ma do niej słuszne pretensje.

Głód okazał się znacznie silniejszy od potrzeby wszczynania kolejnej awantury. W dotarciu do kuchni przeszkodziło mu jednak krzesło, o które potknęły się jego koślawe nogi. Zaklął siarczyście pod nosem, rzucając matce nienawistne spojrzenie, jakby to była jej wina, że krzesło stało właśnie tam. Odepchnął ją, po czym

chwycił za chochlę, z której chciwie siorbnął łyk gorącej zupy.

- Wariatko, poparzyłaś mi gardło! – wrzasnął z załzawionymi oczami.

Rzucił się na matkę i uderzył ją w twarz. Krzyknęła, po czym upadła na ziemię, nie dając żadnych oznak życia. Stał nad nią pochylony, ciężko dysząc. Pot ściekał mu po obu skroniach długimi strużkami. Kiedy ocierał twarz rękawem, matka nieznacznie uniosła głowę. Spojrzała na mnie wymownie: znowu miałem obserwować przedstawienie tak często widziane w ulicznych teatrach, w których to kobieta była tylko bezbronną ofiarą, a oprawcy wszystko uchodziło na sucho.

- Wstawaj – wrzasnął ojciec do matki.

Zobaczyłem na jej prawym policzku czerwone znamię. Popatrzył na nie przez moment z obrzydzeniem i kiedy wydawało się, że największe szaleństwo już mu minęło, znowu zaczął krzyczeć.

- Dlaczego Bóg pokarał mnie taką idiotką, możesz mi to wytłumaczyć? Odwróć się, jak do ciebie mówię! I patrz mi prosto w oczy!

Posłusznie wykonała polecenie.

- Nie mieszaj do tego Boga – pisnęła cicho w odpowiedzi.

- Wszystkie niepowodzenia są przez ciebie. Najpierw on... – Wskazał na mnie palcem. – Powiniennem być posłuchać głosu rozsądku i zrobić to, co w podobnych sytuacjach się robi...

Pałał taką nienawiścią, że gdyby tylko nie groził mu za to szafot, bez wahania udusiłby mnie gołymi rękami.

- To twój syn, Edelberze. – Matka próbowała mnie bronić. – Nie możesz go tak traktować.

- Ja nie mogę?! Ten potwór wyszedł z twojego łona, to ty chciałaś go zachować przy życiu!

Wrzeszczał coraz głośniej, aż w kącikach ust pojawiła mu się piana. Zawsze podnosił głos, gdy próbował zwalić winę na kogoś innego. Matka zwiesiła głowę. Nie miałem do niej o to pretensji. Broniłaby mnie bardziej zaciekle, gdybym przebywał poza domem, ale teraz siedziałem na łóżku z nogami podkulonymi pod brodą i mogłem w każdej chwili oberwać.

Nagle ojciec uderzył otwartą dłonią w stół.

– Jesteśmy w Fagorlot przez jego zdeformowaną twarz i twoją głupotę. Ludzie omijają nas szerokim łukiem. Było dobrze, dopóki potrzebowali rąk do pracy. Ale najlepsze lata już minęły... Pozycja społeczna znowu ma znaczenie.

Nawiązywał do dni mlekiem i miodem płynących, kiedy to jako murarz, po wielkim pożarze w Hyruf, miał pełne ręce roboty i dorobił się całkiem pokaźnych pieniędzy. Ale to już należało do przeszłości. Nie dość, że wyglądał, jakby rozmawiał sam ze sobą, to tak naprawdę plótl bzdury. Wylewał przy stole żale, które były bezczelnymi insynuacjami, bredniami wysanymi z palca. Wiedział o tym świetnie, ale powtarzał je sobie tak wiele razy, że w końcu zaczął wierzyć we własne kłamstwa. Łatwiej było zrzucić winę na syna kalekę, niż przyznać się do życiowej porażki, do której przywiódł go awanturniczy charakter i alkohol. Teraz się za to mścił. Chciał sprawić matce przykrość, doprowadzić ją do załamania. Czerpał przyjemność z upodlania jej i nie rezygnował, dopóki nie osiągnął tego celu.

– Gdybyś była odważna, wsadziłabyś go do dołu i zakopała, oszczędzając mi tych upokorzeń, które muszę codziennie znosić. Bo ty siedzisz w domu i nic nie wiesz. A ja nie jestem dziwadłem, rozumiesz?

– Razem podjęliśmy tę decyzję, Edelber. W Hyruf wszystko miało wyglądać inaczej!

Matka rozplakała się. Jej łzy jeszcze bardziej go rozsierdziły.

– Sam diabeł się do nas przypalał. Na ulicy szydzą, w kościele wytykają palcami. I pomyśleć, że można było tego uniknąć!

Po części rozumiałem jego wstręt do mojej osoby. Moja twarz nie należała do najpiękniejszych – od kiedy tylko pamiętam, prawa jej część, od policzka aż do warg, była sparaliżowana. Ojciec chciał mnie odrzucić już na samym początku i zakopać w lesie (gdy jeszcze mieszkaliśmy na wsi), ale matka podobno kategorycznie się temu sprzeciwiła. Tyle wiedziałem. Teraz na zmianę oskarżał to mnie, to ją, bo desperacko szukał powrotu do sielankowego życia sprzed lat.

– Podejź tu.

Dopiero po krótkiej chwili zorientowałem się, że te słowa skierował do mnie.

– Nie, Edelber, błagam... – pisnęła matka, opanowując wnet płacz.

– Zamknij się! – ryknął, po czym zwrócił się do mnie pijackim bełkotem: – Mó... mówiłem, żebyś podszedł.

Podniosłem się z łóżka. Nie mogłem przez całe życie uciekać. Matka stanęła między mną a ojcem, szeroko rozkładając ramiona. Poprosiłem ją, by pozwoliła mi z nim porozmawiać. Jej twarz wyrażała bezdenne cierpienie. Miałem osiemnaście lat, umiałem o sobie zadbać, nie mogła mnie wiecznie przed nim chronić.

– Masz pięć minut, żeby mnie do siebie przekonać. Rozumiesz? Pięć – pokazał mi rozczapierzone palce lewej dłoni – i ani chwili dłużej. A ty – machnął na matkę – idź i nalej mi zupy.

Poszła do kuchni, ale wciąż obserwowała pokój kątem oka. Trząśłem się w środku, czułem, jak zdenerwowanie

przejmuje kontrolę nad moim ciałem. Kiedy ojciec zajął się podstawionym talerzem, matka wskazała głową drzwi. Zaprzeczyłem. Nie, matko, nie ucieknę. Ucieczka tylko odwlecze w czasie to, co nieuniknione.

W końcu zebrałem w sobie wszystkie siły i powiedziałem na jednym wydechu:

– Nie mam ci nic do udowodnienia.

Matka całkiem pobladła, widząc, jak ojciec zrywa się na równe nogi. Patrzyłem mu hardo prosto w oczy, wachając jednocześnie odór gorzałki wydobywający się z jego ust. Nie dam się zastraszyć! Nie dam! Lecz te odważne słowa pozostały w sferze marzeń. Ze stresu całkiem straciłem czujność. Zanim spostrzegłem, ojciec zamachnął się na mnie. Oberwałem w skroń i padłem na ziemię jak rażony piorunem. Zapanowała głęboka ciemność, a po niej nastąpiła głucha cisza.



Kiedy się ocknąłem, na lewej skroni miałem krwawą wybroczynę wielkości śliwki. Ojciec chciał mnie jeszcze złać, ale tym razem matka go powstrzymała. Przywykł do bezwzględного posłuszeństwa, więc cofnął rękę i uderzył ją przez plecy. Zasłoniła twarz i cicho zajęczała, ale on bił bez opamiętania. Gdy przestała się ruszać, pociągnął ją za włosy. Ledwie wstała, a on wtedy przyłożył do jej gardła nóż, który chwycił z kuchennego stołu.

– Zabiję jak psa. Ale najpierw zajmę się tobą!

Z przerażenia znieruchomiałem. Stał zaledwie o krok ode mnie, z ostrzem wycelowanym w głowę. Nie miałem szans się przed nim obronić. Zawisłem w powietrzu, a on przez zaciśnięte zęby dyszał jak smok.



- Ty kupo gnoju - parsknął rozwścieczony. - Zobacz, do czego doprowadziłeś moją rodzinę. Zobacz, jak wygląda przez ciebie moje życie!

Kawałki śliny obrzygały mi twarz. Śmierdział podle. Musiałem użyć całej siły woli, by nie odwrócić głowy w grymasie obrzydzenia. Wtedy, zupełnie bez ostrzeżenia, poczułem rozluźnienie. Nie mam pojęcia, skąd się to wzięło ani dlaczego tak postąpiłem. Był to impuls, decyzja podjęta bez najmniejszego zastanowienia. Pamiętam tylko, że mrugnąłem i w tym samym momencie oplułem mu twarz. Wiedziałem, co zaraz nastąpi, byłem na to przygotowany.

- Dalej, zrób to! - krzyknąłem.

Ręką, w której trzymał nóż, otarł flegmę z twarzy. Już widziałem, jak zanurza ostrze w moim gardle, już czułem, jak przecina skórę i dostaje się do gardła. Mimowolnie zacisnąłem powieki. Ojciec wrzasnął. Był to jednak krzyk przerażonego człowieka, któremu paznokcie rozdrapują policzki. To matka ruszyła mi na ratunek.

- Uciekaj, synu, uciekaj!

Tak bardzo wziąłem sobie do serca jej słowa, że o niczym innym nie myślałem. Poderwałem się i wziąłem nogi za pas. Gdy zbiegałem przerażony po schodach, wciąż rozbrzmiewał mi w głowie sapliwy oddech ojca i jego dzika chęć pozbawienia mnie życia. Nawet na klatce schodowej nie odpuszczał. Zdążył wychylić głowę za drzwi:

- Żebyś cię tu więcej nie widział, pomioście szatana!

Jeszcze długo nie mogłem dojść do siebie. Wrócić na górę czy nie? W głowie kołatało mi się mnóstwo myśli. Ten zbir będzie się pastwił nad matką dniami i nocami, ukarze ją za moją ucieczkę, bo odważyłem się mu sprzeciwić, bo nie pozwoliłem sobą pomiatać. A matka będzie

wolała wziąć na siebie cały ten ciężar niż patrzeć na moje siniaki.

Mocno pociągnąłem nosem. Na zewnątrz huczało od deszczu. Ze łzami płynącymi po policzkach pobiegłem wreszcie przez opustoszałe ulice, nie zwracając uwagi na strumienie wody zamieniające drogi w rwące potoki błota, szlamu i brudu.

Było jedno miejsce, w którym czułem się całkowicie bezpiecznie. Minąłem skrzyżowanie Arlig i Smag, gdzie mieszkał pan Laug, jeden z nielicznych przyjaciół mojej matki. Pomyślałem przez moment o złożeniu mu wizyty. Z pewnością przy takiej pogodzie siedział przy kominku, głaszcząc potężnego kocura. Jego żona, a właściwie towarzyszka, była równie sympatyczną i życzliwą kobietą, ale nie chciałem ich niepokoić swoją osobą. Zresztą pan Laug znał bardzo dobrze sytuację panującą w naszym domu i z pewnością przejąłby się moją opowieścią. Sęk w tym, że poza litością nie uzyskałbym od niego niczego więcej.

Odgarnąłem mokre włosy przylepione do czoła. Nie chciałem przechodzić przez otwarty rynek, bo wiązało się to z ryzykiem bycia dostrzeżonym przez rzeźmieszków bądź innych włóczęgów załatwiających tam swoje szemrane interesy, więc skręciłem na wschód. Otworem stanął przede mną kwadratowy, nierzucający się w oczy budynek o drewnianej konstrukcji, z białonymi wapnem ścianami. Na jego tyły prowadziła ślepa uliczka, zastawiona gratami, wyrzuconymi resztkami jedzenia i rozwalonymi beczkami służącymi zapewne kiedyś do przechowywania wody przeciwpożarowej. Mało kto wiedział jednak, że po wejściu na dach można było znaleźć drabinę. Wdrapałem się z trudem po jej mokrych szczeblach. Na górze odetchnąłem z ulgą,

choć przemokłem do suchej nitki. Przy ładnej pogodzie rozpościerał się stąd widok szczególny. „Lepianki”, jak pospolicie nazywano chałupy biedaków z Fagorlot, przylegały do siebie ścianami i dachami, jakby trwały w nierozzerwalnym tańcu. A gdy już na ich drodze stała wąska uliczka, to albo zaraz pojawiały się kolejne rudery w jakiś sposób połączone przejściem, albo odległość między nimi była na tyle mała, że wystarczyło wykonać skok, by znaleźć się po drugiej stronie.

Umiejętnie pokonywałem kolejne przeszkody, żeby nikt z domowników mnie nie zauważył. Robiłem to bardzo ostrożnie. Przykurczony, przesuwalem się pod parapetami, aż w końcu mogłem wyprostować plecy obolałe od ciągłego schylania. Widać już było smętne kontury wieży katedralnej z lekko przechylnym krzyżem u jej szczytu.

Zszedłem z powrotem na ziemię. Przytulony do ściany rozejrzałem się, czy nikogo nie ma na przyległym cmentarzu. Zmrużyłem oczy, żeby lepiej widzieć. Oprócz gęstego deszczu widok zasłaniało drzewo, usadowione prawie na środku ulicy, tuż przy wyznaczającym granice parafii prowizorycznym ogrodzeniu, które lata świetności miało dawno za sobą.

Przez moment wydawało mi się, że zobaczyłem ludzkie cienie. Podszedłem bliżej i przycupnąłem za wozem. Nie miałem już wątpliwości: ktoś energicznie używał szpadla, a towarzysząca mu zakapturzona postać rozglądała się wokół. Było to bardzo dziwne. Kto normalny kopałby o tej porze pod zewnętrznymi murami cmentarza opuszczonej katedry i jaki miałby w tym cel...?

Zaparło mi dech w piersi. Wnet pojąłem, czego jestem świadkiem. Odczekałem parę chwil, żeby się upewnić. Choć nie widziałem wszystkiego dokładnie, było

jasne, że obaj są złodziejami lub mordercami, którzy przyszli odkopać grób kolegi po fachu bądź też noworodka zmarłego przed chrztem. W środowisku przestępczym w Hyruf panowało przekonanie, że takie zwłoki mają właściwości magiczne. Wiele widziałem w swoim krótkim życiu, ale tego rodzaju praktyki zawsze wywoływały u mnie ciarki na plecach. Skoro ci dwaj byli w stanie sponiewierać ciało nieczyste, to gdyby zostali przez kogoś przyłapani na gorącym uczynku, z pewnością nie cofnęliby się przed najgorszym.

Znajdowałem się najwyżej kilka jardów od nich. Mimowolnie zasłoniłem usta, jakby mój oddech miał zostać nagle przez nich usłyszany. Myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi. Długo nie wychylałem głowy, ale kiedy wreszcie zdobyłem się na odwagę, nikogo już nie było. Poderwałem się do szalonego biegu. Czym prędzej otworzyłem furtkę prowadzącą na cmentarz i skierowałem się od razu na tyły opuszczonej katedry. Wejście główne było zamknięte na cztery spusty, ale drzwi od zakrystii, otoczone dzikim kolcolistem, opierały się tylko na jednym zawiasie.

W środku panował półmrok. Kilka lat temu katedrę strawił pożar, więc pachniało mieszaniną spalenizny, wilgoci i zgnilizny, odchodami szczurów i szczynami. Schody do wieży dzwonnicznej znajdowały się tuż za kruchtą. Były sparciałe i nadpalone w wielu miejscach – w każdej chwili mogły się załamać. Ostrożnie przechodziłem pomiędzy dziurami i trzeszczącymi deskami. Na trzecim piętrze w ogóle brakowało schodów, ale i na to znalazłem sposób. Kiedyś przyniosłem ze sobą linę, po której wciągałem się niczym pająk po nici.

Dalej ogień jakimś cudem nie dotarł, zostawiając konstrukcję w praktycznie nienaruszonym stanie. Z po-

przecnych krokwi, pełniących funkcję sufitu, zwisały trzy średniej wielkości dzwony. Nie było tu może zbyt wiele miejsca, ale tyle w zupełności wystarczało. Zmęczony usiadłem na podłodze, otworzyłem prowizoryczny kufer zbity z kilku desek i założyłem suche ubranie. Dłuższą chwilę wsłuchiwałem się w deszcz uderzający o ołowiany dach. Dopiero wtedy przypomniała o sobie rozbita skroń, rwąca tęnym bólem. Wspomnienie matki wróciło ze zdwojoną siłą. Zresztą nie tylko jej posiniaczoną twarz ujrzałem. Przed oczami przemknęło mi całe dotychczasowe życie.

Wszystko obracało się wokół bicia. Dostawałem czym popadło i bez żadnej przyczyny, ale zawsze z zamiarem zadania jak największego bólu. Na samym początku płakałem, bo nie rozumiałem, później, w wieku mniej więcej dziesięciu lat, zdławiłem w sobie to uczucie. Znikałem na całe dni, czasami nocowałem na ulicy, byle tylko nie widzieć zapitej gęby ojca. Najbardziej żałowałem matki i tylko dla niej wracałem. Zawsze bałem się, że w momencie otwarcia drzwi zobaczę ją martwą. Ta myśl paraliżowała mi członki, doprowadzała do szaleństwa. Zawsze zmuszała się do uśmiechu na mój widok, co było jeszcze bardziej przykre – miała tak poobijaną twarz, tak bardzo posiniaczoną, zakrwawioną, zmiażdżoną, opuchniętą... Tylko jękliwy głos wydobywający się gdzieś ze środka świadczył o tym, że jeszcze żyje. Głos słodki i dobrotny, pełen miłości.

Oczy zaszyły mi łzami. Nie ze smutku, jak to bywało do tej pory, lecz ze szczęścia. Kilka godzin później już nie było odwrotu. Postanowiłem być całkowicie wolnym obywatelem Hyruf, mogącym decydować o własnym losie.

## 13 listopada 1646 roku, poniedziałek

Ze statystyk opracowywanych przez Ratusz Miejski we współpracy z parafiami dzielnicowymi, wywieszanych na drzwiach kościołów raz w miesiącu, wynikało, że najczęściej samobójstw popełniano w listopadzie. Ciekawe, że kawałek białej chmury wiszącej nisko nad brukiem potrafił skutecznie zniechęcić do życia wielu hyrufczyków, zarówno biednych, jak i bogatych. Zwykle w mieście panował taki harmider, że trudno było usłyszeć własne myśli. Odgłosy kowalskich młotów, piłowania drewna, katarynek, trubadurów to niektóre z dźwięków, jakie można tu było usłyszeć podczas krótkiego spaceru. Dochodził do tego klekot wozów, krzyki, kłótnie, szczekanie psów, miauczenie kotów, walki kogutów, szczurów i cała gama innych odgłosów zlewających się w jedno.

Rankiem zalegała dojmująca cisza. O ile brak hałasu powodowanego ludzką obecnością był podczas ulew zrozumiały, o tyle w dni takie jak ten było to dość nietypowe zjawisko. Hyrufczycy, pomimo wczesnej pory, wylegali na rynek w wielkiej liczbie, lecz snuli się po ulicach prawie bezgłośnie, niczym zbłąkane dusze szukające swojego miejsca w świecie.

Były profesje, dla których ołowiane niebo nie stanowiło przeszkody, a wręcz przeciwnie, stwarzało szansę na zdobycie paru dodatkowych pensów. Na przykład miejscowi felczerzy mieli wówczas pełne ręce roboty. Jeszcze na długo przed wschodem słońca, ze świecami w dłoniach, wybierali się na poszukiwanie odpowiednich ziół, by móc później zadowolić najbardziej wybrednych klientów.

Jeden taki był w Fagorlot, nazywał się Berlod. Miał około pięćdziesięciu lat, włosy wyglądające jak bocianie gniazdo, rozwichrzone na wszystkie strony świata. Na jeszcze chudszych od moich ramionach dźwigał skrzynki wypełnione przeróżnymi specyfikami. Dowiedziałem się o nim zupełnie przypadkowo, niewiele ponad tydzień temu, kiedy dawał pokaz swoich umiejętności na placu Wody, stanowiącym bezpośrednie połączenie cyrkułu<sup>1</sup> Fagorlot z główną arterią miasta, zajmowaną przez piekarzy z Omhall. Nakarmił wtedy jedną mysz małą ilością specyliku, po którym momentalnie zdechła. Drugiej natomiast dał to samo, tylko w znacznie większej ilości. Mysz zrobiła się znacznie ruchliwsza i wyglądała, jakby miała większą ochotę do życia. Gawiedź przyglądająca się pokazowi zaryczała z zachwytu. Berlod nazwał ten lek „Dwa w jednym” – w mniejszej dawce zabijał, w większej poprawiał humor.

Choć jego sława sięgała znacznie poza granice cyrkułu, to obsługiwał on najmniej zamożnych. Nie wiem, czym było to powodowane ani dlaczego wołał leczyć tych pokrzywdzonych przez los biedaków, wiedziałem natomiast – po wcześniej zrobionym rozeznaniu – że zawsze w poniedziałek opuszczał rewir i szedł nad przepływającą przez Hyruf rzekę Tulbagann.

Najłatwiej byłoby po prostu rzucić Berlodowi parę ćwierćdalerówek i dostać to, na czym mi najbardziej zależało. Ale ja nie miałem nawet tyle. Poza tym wyznawałem zasadę, że im mniej osób wie o mnie cokolwiek, tym lepiej. Wołałem pozostać anonimowy tak długo, jak tylko było to możliwe.

---

<sup>1</sup> Cyrkuł – dzielnica.

Od katedry Nidar do dzielnicy portowej było trochę ponad milę. Berlod szedł w towarzystwie kilku tępych najemników, którzy w razie potrzeby mieli interweniować. Szybko ich namierzyłem. Bardzo nieudolnie próbowali być niewidoczni. Trzymali się blisko siebie, przepychając się przez tłum, chwytając jabłka z mijanych straganów. Nie musiałem podążać za samym Berlodem, żeby poznać miejsce, do którego zmierzał. Wystarczyło trzymać się jego pomocników, a łup, prędzej czy później, sam wpadnie w moje ręce.

Mgliste poranki nad Tulbagann zdarzały się o tej porze nader często. Portowe doki osnuwał dywan mlecznobiałej pierzyny, zza której co i rusz wystrzeliwały w górę ogołocone maszty kołyszących się leniwie statków. Berlod szukał odpowiedniego miejsca. Musiał postępować zachowawczo i jednocześnie szybko, a to nie było takie proste. Zgięty w pół mijał rybaków zasiadających w łódkach, jakby wcale ich nie dostrzegał. Poszedł dalej, za niewielką przystań, kierując się prosto na bagna. Pomocnicy musieli być z tego powodu bardzo niezadowoleni, kiedy próbowali dorównać kroku felczerowi na podmokłym gruncie. Sam Berlod ich ignorował. Długo czekał na odpowiedni moment, aż wreszcie schylił się, po czym jak gdyby nigdy nic skierował się z powrotem w stronę miasta. Minał mnie zaledwie o kilka kroków, nieświadom, że właśnie wszedłem w posiadanie jego tajemnicy.

Dla pewności wstrzymałem się jeszcze kilka minut. Gdy wszystkie znaki na niebie wskazywały, że już tu nie wróci, ruszyłem w dokładnie to samo miejsce. Bez trudu znalazłem jego ślady i wydeptaną wokół trawę. Kilka łądyg było urwanych tuż nad ziemią. Tylko jedna roślina o tej porze roku wciąż pokrywała brzeg. Był to chwast rzeczny.